ROK III. Nr. 18 (118). Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem. 3 maja 1931 r.

7 DNI

CENA 50 GR

TYGODNIOWE PISMO ILUSTROWANE



DZIEWCZYNA POD PALMĄ (fot. Metro)

Tryumfujące „bosiaczestwo" przy czarnej kawie

Z filiżanką wonnej kawy w ręku, przy bufecie, zastawionym najbardziej wykwintnemi smakołykami, znienawidzony „bourgeois" — tym razem najmilszy z gości — styka się osobiście od czasu do czasu z luminarzami nowego świata. I nieraz, po takim wytwornym „fivie", sypią się na łamach niektórych pism, jak z rogu obfitości, słowa pochwały i uznania dla niezwykłości talentu zaprodukowanej gwiazdy — a w tym samym czasie, w dalekiej „białokamiennej" (!) czerwonej stolicy, złorzeczą zajadle przeciw całej burżuazji i setki tysięcy wybitnych ludzi przymiera głodem.

Courtoisie oblige...

Że jednak nigdy nie dostąpiłem zaszczytu bywać na podobnych zebraniach towarzyskich i względy kurtuazji bynajmniej mnie nie krępują, mogę sobie pozwolić na skreślenie kilku uwag, dotyczących największego tabu rewolucyjnej literatury, Maksyma Gorkiego.

Pragnąc, choćby na wstępie, uniknąć gromów, których mi nie poskąpią czciciele talentu piewcy „bosiaka" — rozpocznę od rzeczy, obcych karjerze literackiej pisarza.

Pragnąłbym zaprowadzić Czytelnika do cudownej posiadłości Gorkiego na Capri, gdzie otoczony komfortem i masą cennych „bibelotów", zamieszkuje od wielu lat bożyszcze współczesnej Rosji. Kuźnia sztuki? — Nietylko. Przed rewolucją zjeżdżali się tu z całego świata działacze rewolucyjni, zakładając szkołę, z której wychodzili przyszli władcy Rosji. Instytucji tej poświęca pomiędzy innemi kilka ciekawych uwag Ałdanow. Oto czytamy we „Współczesnych", w rozdziale o zabójstwie Urickiego:

„...w komunikacie, złożonym naczelnikowi moskiewskiego oddziału ochrony (24 czerwca 1909 roku) mówi się z oburzeniem o tem, że *członkowie bolszewickiego centrum — Bogdanow, Marat i Nikiticz (Krassin) przeszli do krytyki centrum bolszewickiego, skłaniają się ku „otzowizmowi" *), ultymatyzmowi i zagarnąwszy pokaźną sumę zdobytych w Tyflisie pieniędzy **), zaczęli uprawiać tajną agitację przeciw centrum bolszewickiemu wogóle i niektórym jego członkom w szczególności. Naprzykład założyli szkołę na wyspie Capri u Gorkiego* (tekst dosłow. tłomacz. z raportu policji). Naczelnik moskiewskiego oddziału ochrony posiadał, jednakże, swe własne informacje — i w odpowiedzi, skierowanej do departamentu policji (z dn. 7 lipca 1909 r.) występuje serdecznie w obronie Bogdanowa, Marata i Nikiticza. *Wymienione osoby nie prowadzą żadnej agitacji przeciw bolszewickiemu centrum; zakładają szkołę nie za pieniądze, zdobyte w Tyflisie, lecz za sumy, ofiarowane przez Gorkiego i inne osoby...*

Pieniądze ofiarowane przez Gorkiego... Wydawałoby się może, iż pisarz zarabiał tylko piórem, lecz i na ten temat krążą różne wersje. Wiadomo, pomiędzy innemi, że Gorkij, korzystając z wpływu, który wywierał na bogacza moskiewskiego, Sawwę Morozowa, oskubał go skrzętnie z pieniędzy na rzecz rewolucji (czy tylko na cel publiczny?!) i mówią, że, nie pozostając w tyle za innymi „eksami" (od ekspropriacja — ulubiony termin Lenina), wymyślił doskonały sposób na otrzymanie od Morozowa więcej nawet, niż ten mógł dać z własnych środków, oto bowiem któregoś dnia namówił młodego entuzjastę do podpisania polisy asekuracyjnej na rzecz Lenina. W jakiś czas potem znaleziono Morozowa nieżywym...

Gorkij w roli agenta asekuracyjnego!

Trudno — cel uświęca, podobno, środki, a Gorkij pod tym względem nie różni się od innych twórców rosyjskiej rewolucji, którzy nie przebierali w sposobach zdobywania pieniędzy na prowadzenie „roboty". *Pecunia non olet...* Opowiadają, że najbardziej pomysłowym w podobnych materjach był sam Lenin. Nie mówiąc o zamachach zbrojnych „eksów" na kasy lub na fałszowaniu pieniędzy, w czem celował Krassin, Lenin wynalazł sposób niebanalny przysparzania pieniędzy partji, polecając towarzyszom żenić się z bogatemi niewiastami celem dokonania „eksacji" na ich posagach.



Maksym Gorkij, alias Aleksiej Michajłowicz Pleszkow.

Powróćmy do Gorkiego. Zaledwie wybuchła rewolucja, pisarz porzuca słoneczną wyspę i jedzie do Petersburga. Zakłada tu gazetę p. t. „Nasza Żizń", w której najwyraźniej przemawia tonem germanofilskim. I podobnie, jak ongiś okazał się pomysłowym agentem asekuracyjnym, teraz nawiązuje stosunki z osławionym agentem szpiegostwa niemieckiego, Fürstenberg-Ganeckim. Miljony przechodzą przez jego ręce, idą na „robotę", której ukoronowaniem jest zwycięstwo Lenina. Lecz poco się narażać... Gorkij dosyć ma zimnego Petersburga, krwawej rewolucji — urocza wyspa Capri jest mu stokroć milsza. Więc „skupuje" co może bibelotów z pierwszorzędnych kolekcyj i wyjeżdża.

Dość tego!

Od czasu do czasu przyjeżdża do Moskwy, radując swe serce postępem, dokonanym przez nowych ludzi i—jak zwierza się Barbusse'owi— młodnieje w ich towarzystwie.

Otoczony czcią współczesnych Rosjan głosi światoburcze poglądy, mówi o losach przyszłej literatury i myśli przyszłych pokoleń. „Pisarze winni wydobyć z siebie wszystko, co mogą, na rzecz rewolucji światowej. Zwalczać bezlitośnie drobnych, wstrętnych mieszczan, którzy wciskają się do każdej komórki życia, organizując się lepiej, niż ongiś, przed laty". Zwalczać należy, zdaniem jego, i kułaka, i drobnego producenta, których marzenie polega na „wysypianiu się i obżeraniu". Do tego zadania powołuje zastępy nowych współpracowników — korespondentów ze sfer robotniczych, zasilających w obecnej dobie większość pism sowieckich. „Za pięć lat — twierdzi Gorkij — robotnicy opanują całą literaturę... Ludzi tych, piszących jeszcze nieortograficznie, można będzie szybko wyrobić na znakomitych techników słowa".

Znakomite! A jeszcze lepiej brzmi odpowiedź, którą w wilję wyjazdu na Capri drukuje na łamach „Izwiestij", korespondentowi z dalekiej tajgi syberyjskiej. „Czytałem z rozczuleniem wasz list. Z jaką rozkoszą skoczyłbym do was, do tajgi, aby razem z wami spędzić czas na polowaniach lub na przyjacielskich gawędach. Ale trudno... Mam 63 lata i choć jeszcze jestem pełen sił, odczuwam już drobne dolegliwości, zwiastujące starość..." Bo pewnie! Tajga gawędy przy ognisku z towarzyszami „bosiakami" — wszystko to pięknie brzmi, ale już było. Dziś lepiej o tem tylko pisać i cieszyć się życiem pod lazurowem niebem italskiem, na rozsłonecznionej wyspie Capri.

Od czasu do czasu, byleby jaknajrzadziej, Aleksiej Michajłowicz przyjeżdża do ojczyzny i nasyciwszy się owacjami tłumów, przyjmuje hołdowników w „barskim" domu pod Moskwą. A gdy wyczyta zdanie, jak to, które zostało wygłoszone w wilję jubileuszu Tołstoja — iż „gdyby wielki pisarz powrócił na ziemię, musiałby zostać uczniem chłopów i robotników" — Aleksiej Michajłowicz, „bosiak" z pochodzenia i z natchnienia, uśmiecha się pod wąsem na myśl o losie „grafów" i to tych nawet, co chadzali w siermięgach lub fortuny rozdawali na rzecz rewolucji.

I jeszcze jedno radością przepaja jego serce — to marzenie o przyszłości, kiedy, jak twierdzi, rewolucja opanuje cały świat, a burżuazyjna kanalja zginie, bezbronna, mimo kulomiotów, samolotów i gazów, bezsilna wobec potęgi budzących się do nowych form życia nowych ludzi.

Przyjemnie tak gaworzyć, zwłaszcza przy czarnej kawie i kieliszku dobrego napitku po sutej uczcie... Przyjemniej, niż w tajdze, przy ognisku... A najzabawniejsze to, że wśród grona adoratorów nie brak i burżujów, których nabrać można i oskubać, jak ongiś Morozowa, lub, nie zadając sobie tego trudu — poprostu wytępić i zagarnąć po nich wszystko, co posiadali. Bo na tem polega „bosiaczestwo" ducha i naiwność ducha burżuazji, pozującej na modernizm.

Er.

---

*) „Otzowizm" od „otozwat" — odwołać, kierunek, żądający odwołania posłów S. D. z Dumy Państwowej.

**) Mowa tu o Tyfliskim rabunku z r. 1907, w którym brał udział Stalin. Zrabowano wówczas pokaźną sumę 250.000 rubli, przyczem zabito i raniono 50 osób.

Żółci rozbójnicy

Lęk przed śmiercią głodową zmusza Chińczyków do zaciągania się do szeregów armji, konkurujących z sobą jenerałów lub też do tworzenia band rozbójniczych.

Ustrój i działalność tych band zawiera niejedną osobliwość. Oto np. w okolicy jakiegoś miasta obiera sobie siedlisko i uważa je, wraz z pewnym przylegającym obszarem, za swój teren eksploatacyjny. Każda karawana kupiecka, nawet europejska, musi składać okup za prawo swobodnego przejazdu czy prowadzenia handlu. Liczne w północnych Chinach faktorje firm angielskich i amerykańskich, skupujących dla swych central w Pekinie czy Tien-Tsinie skóry, niejednokrotnie spotyka podobny los. I niema na to rady...

Co pewien czas zjeżdżają bandyci do „swego" miasteczka, z którego ściągają okup. Nie grabią, ani nie mordują, gdyż wszyscy posłusznie ulegają ich rozkazom. Biada, jeśli ktokolwiek okaże im sprzeciw, gdyż wówczas okazują się bezlitośni — mordują, a co gorsze, nie szczędzą uprzednio wyrafinowanych tortur. Faktorja, która już bandzie opłaciła się, jest bezpieczna od powtórnego haraczu lub zaczepek ze strony band innych, a jeśli nawet czasami zdarza się, że zaatakują je luźne, niezorganizowane bandy, bronione są przez miejscowych bandytów z całą lojalnością.

Częste wypadki porywania bogatych Chińczyków, lub nawet europejczyków, są w Chinach na porządku dziennym. Mają one przebieg typowy. W kilka dni po zniknięciu bogacza, otrzymuje jego rodzina zawiadomienie o tem, wraz z żądaniem pewnej sumy za wypuszczenie. Nigdy nie zdarza się prawie, by nie zadośćuczyniono żądaniu bandytów.

Dwa lata temu, na jednego z bogatszych mieszkańców Tien-Tsinu, przejeżdżającego samochodem, dokonano zamachu. Oto pod miastem, w odległości paru kilometrów od terenu japońskiej koncesji, auto musiało się zatrzymać, gdyż całą szerokość szosy zajmowała przewrócona „arba" i wysypane z niej, widocznie w czasie wypadku, wory z wielbłądzią sierścią. Właściciel samochodu, pragnąc szybko jechać dalej, kazał szoferowi swemu, Rosjaninowi, pomóc kręcącym się dość bezradnie dwóm Chińczykom w odciągnięciu wańtuchów na bok. Ledwo jednak szofer uczynił dwa kroki, w ręku rozbitków błysnęła broń, kupca zmuszono do opuszczenia wozu, a w kilka chwil potem na szosie pozostała rozbita „arba", wory z wełną i szofer przy unieruchomionym przez pocięcie opon samochodzie. A kupca — ani śladu...

Gawiedź uliczna w Chinach przygląda się obojętnie zarówno samej kaźni, jak też po niej — zwłokom skazańców.





W parę dni później nadesłano r-dzinie pisemne żądanie okupu. Tym razem jednak krewniacy zwrócili się do władz. Nie odkryto narazie żadnych śladów, nadeszło natomiast od bandytów ponowne żądanie wypłacenia okupu, a do listu dołączono małą przesyłkę — palec ludzki wraz z objaśnieniem, iż smutna ta „konieczność" wynikła na skutek opieszałości krewnych w zadośćuczynieniu żądaniu bandy. W post-scriptum wyrażono groźbę, iż następna przesyłka będzie zawierać głowę kupca. Zapłacono, a w parę dni potem kupiec powrócił, zdrów, lecz nie cały, gdyż pozbawiony palca.

Walka z bandami jest bardzo trudna. Bezwzględnością w stosowaniu swych metod terroryzują oni ludność do tego stopnia, że władze nie mogą liczyć na jej pomoc. Czasem jednak jakiś niezręczny krok, rzadziej zaś zręczność policji, oddaje bandytę w ręce sprawiedliwości, który wówczas nie może już liczyć na litość. Wyrok zawsze bywa jednaki: kara śmierci.

W godzinach południowych, gdy uliczki chińskiego miasteczka ożywia największy ruch, wśród kłusujących „riksz", leniwie wlokących się osłów, obojętnych na wszystko wielbłądów, wśród zgiełku czynionego przez natłoczonych handlarzy i kupujących, przesuwa się ponury orszak. Prowadzi go ogromnego wzrostu mężczyzna z mieczem na ramieniu. To kat. Za nim — niewielki oddziałek żołnierzy.

Skrzypiąc nielitościwie niesmarowanemi osiami, toczą się jedna za drugą „arby", zaprzężone w woły. Ogromne dwukołowe woziska. Na nich skazańcy. Pochód zamyka znów kilkunastu żołnierzy i tłumek niepełnoletniej gawiedzi. W ten sposób przybywa orszak na miejsce kaźni, którem zwykle jest jakaś ludniejsza ulica, czy plac.

Ciekawe, że nie obserwuje się naogół zdenerwowania, żalu, czy współczucia. Skazany uśmiecha się do kata, kat do publiczności, publiczność, składająca się w większości z dzieci, robi wrażenie grupki gawiedzi, podziwiającej akrobatę podwórzowego. Na twarzach nie maluje się nic, poza ciekawością.

W międzyczasie przygotowania ukończono. Skazaniec spokojnie klęka na obydwa kolana. Schyla głowę. Pachołek ujmuje go silnie za ręce ztyłu. Błysk miecza i już po wszystkiem.

W chwilę po egzekucji, odciętą głowę umieszcza się na rodzaju szubienicy, na której wisi, jako groźne memento.

Mało to jednak pomaga. Bo cóż znaczy życie pojedyńczego Chińczyka?...



Okrutnie pokiereszowane przez kata zwłoki ściętego Chińczyka.

Klęska powodzi w Wileńszczyźnie



(Fot. z Wilna wyk. Photoplat)





Od 43-ch lat nie pamiętano w Wilnie podobnej powodzi. Poziom Wilji, który w r. 1888 wynosił 6 m. 70 cm., dosięgnął obecnie 8 m. 36 cm. Wezbrane nurty rzeki zalały całe dzielnice miasta, pozostawiając tysiące mieszkańców bez dachu nad głową. Komunikacja w zalanych dzielnicach odbywała się na pontonach saperskich. Niebezpieczeństwo zagraża jeszcze całej prowincji wskutek wylewu Niemna i Dźwiny. Władze państwowe podjęły energiczną akcję ratowniczą.



Na fotografji — min. Hubicki podczas objazdu.

Perska punktualność

Nazywają nas (albo, bądźmy sprawiedliwi— sami siebie nazywamy) Francuzami Północy, Włochami Północy, Hiszpanami Północy. Złośliwi twierdzą, że posiadamy wszystkie wady tych narodów, ale rzadko którą z ich zalet.

Teraz jednak porównano nas z Persami. I, o dziwo: porównanie okazało się bardzo trafne. Oba narody posiadają wiele cech wspólnych.

Oto co przeczytaliśmy ostatnio w prasie: „Podczas, gdy w Europie naogół punktualność tolerowana jest najwyżej w granicach 10—15 minut, w Persji rozciąga się ona przynajmniej na dwie godziny...“

Hm! Wczoraj właśnie znany bankier (jeszcze bez nadzoru), pan Kalasanty, prosił mnie na konferencję w ważnej sprawie. Przyjmuje między dwunastą a drugą, powiedział.

Przyszedłem punkt o dwunastej, czekałem do drugiej, zniecierpliwiłem się i zirytowany wyszedłem. O wpół do trzeciej telefon od pana Kalasantego: — Stokrotnie przepraszam, ale dlaczego pan taki prędki? Przecież ja piętnaście po drugiej już byłem w biurze. Nie mógł pan tego kwadransika poczekać?

„...Jeśli zaprasza się do towarzystwa poważną damę na godzinę ósmą, to zaczyna się ona ubierać o dziewiątej, a przychodzi o dziesiątej. Bo myśli, że gdyby przyszła wcześniej, ubliżałoby to jej godności“.

Trzy dni temu, urocza pani Maryla obiecała mi bluesa, o którym marzyłem miesiącami. Miała przyjść do „Furji“ punktualnie o szóstej. O ósmej zastałem ją w domu, w ślicznym peniuarze, lakierującą paznokcie.

— A jak to ładnie, że pan po mnie przyjechał. Zaraz będę gotowa... No co?... która godzina?... Parę minut po szóstej... Ósma! Niemożliwe! A zresztą niema się czem przejmować. Nie jesteśmy przecież w wojsku.

Szczęśliwi nie śledzą za godziną—powiedział kiedyś Gribojedow.

„... To samo powtarza się w życiu towarzyskiem...“

Na balu „Towarzystwa ochrony mężczyzn“ wyszedł skandal. Zaproszenia głosiły: Początek punktualnie o dziesiątej. O dziesiątej dziesięć przyjechała dyplomacja, goście zagraniczni, generalicja. Na sali były pustki i ciemności. Elektrotechnik jeszcze nie przyjechał, gospodarz był tylko jeden i to kulawy i nie znający języków. Służba dopiero się schodziła. W bufecie przyrządzano tradycyjną oranżadę: piętnaście litrów wody wodociągowej, dwie łyżki cukru, jedna cytryna, dwie łyżeczki soku pomarańczowego na sacharynie.

Goście pokręcili się parę minut i wyjechali. Ambasadorowa Rurytanji, będące w Polsce dopiero od tygodnia, przekonaną była, że bal się nie udał. To też sprawozdanie o hucznej zabawie wzięła następnego dnia za czysty humbug. A jednak na balu było dwa tysiące osób.

„...w życiu gospodarczem, w widowiskach publicznych....“

Afisz warszawskiego teatrzyku „Perskie oko“ nosił napis: Początek o 9.45. Ale od czego hołdowanie „perskim“ zwyczajom? O dziesiątej trwało jeszcze poprzednie przedstawienie. O kwadrans na jedenastą zaczęto wpuszczać gości...

— U nas nie Opera, gdzie panują jakieś niekulturalne zwyczaje, — mówił zbiedzony dyrektor. — Tam punkt ósma orkiestra, rampa. Widz się spóźni, to go nie puszczają. A-zja. Tymczasem ja, to nawet czekam na publiczność...

„...na posiedzeniach“

Posiedzenie kopalni „Kurzu na Woli“ Sp. z 00, miało się rozpocząć punktualnie o piątej. O wpół do szóstej przyszedł sekretarz. O wpół do siódmej brakowało dwóch członków do quorum. O siódmej zaczęto. Radcę Gwoździkowskiego, który wrócił wprost z z posiedzenia (po północy) rodzona żona posądziła o zdradę, grożąc rozwodem. Ani rusz nie chciała uwierzyć, że posiedzenie trwało siedem godzin.

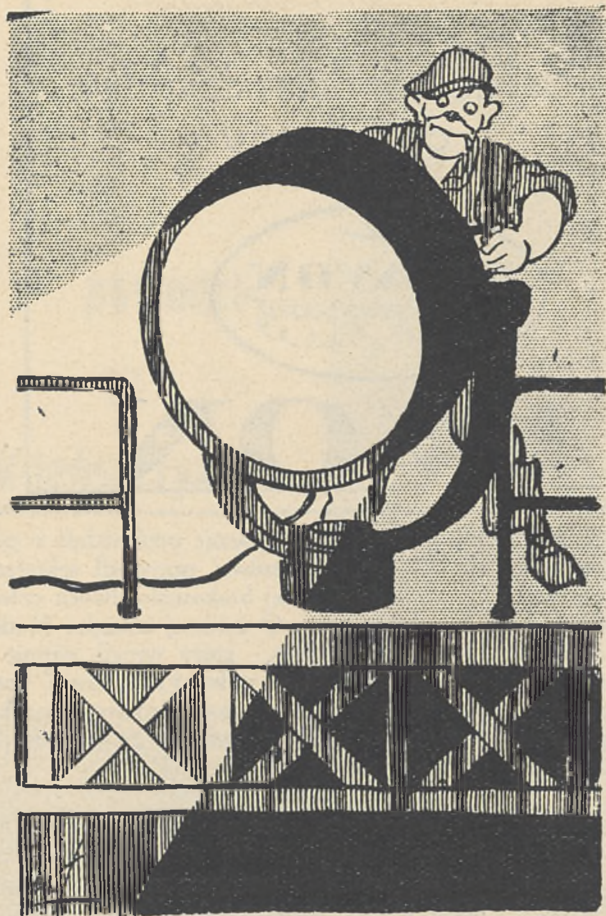
„...i w urzędach...“

O dziewiątej i pół pan referent jeszcze nie przyszedł. O jedenastej wstąpił do naczelnika. O dwunastej przyjmował bardzo długo jakąś młodą osobę z utlenionemi włosami. O wpół do pierwszej oświadczył, że wychodzi na dziesięć minut. O drugiej wrócił i powiedział, że wobec nawału pracy nikogo już nie przyjmie. O pół do trzeciej już go nie było.

O tak, niezawodnie. Nareszcie znalazłem. Eureka! Jesteśmy Persami Północy i konia z rzędem temu, kto dowiedzie, że porównanie to nie jest ścisłe.

Niestety, w Persji wszczęto energiczną akcję w celu zwalczania tych arcymiłych zwyczajów i wprowadzenia zamiast nich brutalnej, głupiej, niewolniczej punktualności, która, jak to słusznie twierdzi pani Maryla, zabiera nam najlepsze chwile.

I teraz kram. Do jakiego państwa będzie nas można porównać? Chyba do państwa niebieskiego. Do raju. Bo tam, oczywiście, godziny nie mają znaczenia. *Jim.*



MAURYCY DEKOBRA.

Parjasi Dziesiątej Muzy

Zdarza się w Indjach — i jakże często — że pyszny samochód Maharadży zawadza na drodze nieszczęsnego chłopka. W Hollywoodzie zaś — 16 cylindrów władcy taśmy przyciska do muru zbiedzonego parjasa Dziesiątej Muzy — figuranta.

Miljony tych biedaków ściągnęło tu, do wyśnionego raju, niczem ćmy nocne, oślepione blaskiem reflektorów, zalewających swemi promieniami szlak kalifornijski. Ciągną jeden za drugim przez ulice Hollywoodu, wyczerpani, doprowadzeni do czarnej rozpaczy — tragiczni. Zaczepią przechodnia, wyżebrają parę groszy na szklankę kawy lub kawałek parówki — byleby z głodu nie umrzeć. Spotkać ich można, przyklejonych do bram studjo — jednych w klasycznych, cowboy'owskich strojach, innych w najbardziej realistycznych łachmanach nędzarzy, w których nie trudno im będzie występować na ekranie we właściwych rolach — bez szminki i bez przebrania. Biedni ludzie...

Pewnego wieczora, kiedy w *drug store* zasiedziałem się, podziwiając kelnerów, manipulujących bez przerwy hydrantami od wody sodowej, lub baterją kranów na przeróżne płyny, począwszy od kawy, a kończąc na soku ananasowym — uwagę moją zwróciła dziwna postać... Zarost zapuszczony. Brwi niczem szczotki do zębów. Nochal ptasi. Siedział ów typ na stołku przed barem, żując radośnie i pogwizdując w przerwach *Over there...* Pomyślałem sobie, że to z pewnością figurant, któremu Fortuna raczyła się uśmiechnąć. Nawiązałem rozmowę.

— Czy znalazłem zajęcie?... Jeszcze jakie! *Fine job!...* Wyobraź pan sobie, że będę kierował zaprzęgiem przy wozie w filmie z czasów pogoni za złotem z roku 1849... Trzy tygodnie pracy w górach o sto pięćdziesiąt mil za Hollywoodem. Trzy tygodnie gwarantowane!...

— A dasz pan sobie radę z zaprzęgiem?

— Czy ja wiem?... Kierowałem, wprawdzie— nie wołami, lecz klekotem Forda. Cóż z tego.— Grunt to morda, a moja właśnie przypadła im do gustu... Dziesięć dolarów dziennie. (Tu mrugnął na mnie okiem)... Najwyższy czas, że wpadło mi to zajęcie ,bo już, doprawdy, nie miałem ani grdynia... Mój ostatni *job!...* W Metro, w filmie, w więzieniach amerykańskich... No, wie pan, w *Big House...* Waliłem z kulomiotu na pancerce, atakującej zbuntowanych więźniów.

— Czy służył pan podczas wojny przy kulomiotach?

— Gdzie tam! Pojęcia nie miałem o maszynce, a na wojnie nie byłem, choć w wojsku służyłem i ledwo, że nie poszedłem na front. Szczęście... Bo pomyśl pan, że już miałem odpłynąć z transportem do Francji i ledwo zdążyłem w ostatniej chwili wyskoczyć na ląd! A już ściągali kładki... Gorąco mi było, psiakrew!...

Losy biedaków nie figurują w wielkich rejestrach Przeznaczenia. Zapisane są w *Casting Office,* w centralnem biurze werbunkowem, skąd dostają przydział na zapotrzebowanie atelier. Wystarczy zadzwonić — a wnet ci przyślą, czego dusza zapragnie: stukilowe babsko, Hindusa „w stylu Gandhiego", zezowatego młodzieńca, zespół kilkudziesięciu klijentów bankowych, brygadę chłopów z Andaludzji i t. d., i t. d.

*

Obok zwykłych figurantów Hollywood hoduje specjalistów w przeróżnych, jedynych w swoim rodzaju zawodach. Tym można nawet pozazdrościć. Dobrze są płatni.

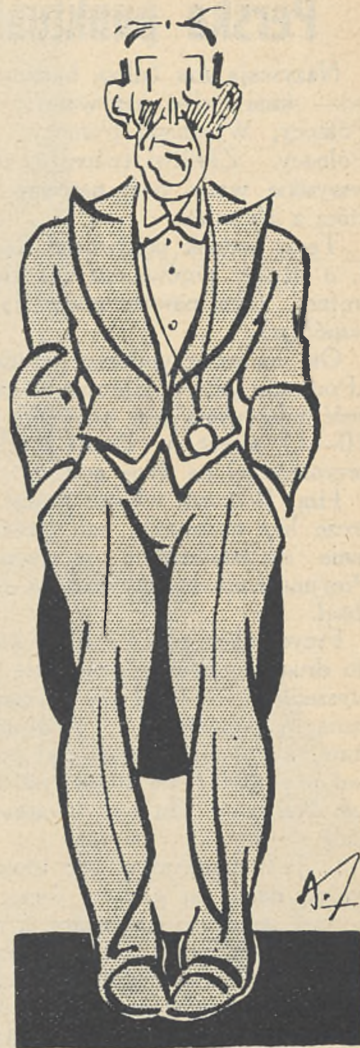
Pewnego poranku zwrócono mi uwagę na człowieka, oddanemu dziwnej pracy. Bo oto na ziemi porozkładane było mnóstwo strojów średniowiecznych, nowych, z pod igły. „Spec" szprycował je brudną wodą, a za nim, pomocnik posypywał je nie tyle proszkiem, ile poprostu... kurzem. Przedstawiono mi „speca".

— Pan X... z działu rekwizytów historycznych.

— Na czem polega owa specjalność?

— Rozumie pan, — objaśniono mi — że kiedy kręcimy film historyczny, z czasów, naprzykład Franciszka I-go, nie możemy operować zespołem, ubranym w stroje, które przed chwilą wyszły z magazynów. Wyglądałoby to conajmniej na zespół operowy. Musimy nadać tym ludziom cechy jaknajbardziej realistyczne. To też ubrania przybrudza się, znasza... Pan X jest właśnie tym specjalistą, który w kilka godzin zamieni trzysta nowiutkich kostjumów, w łachmany, postrzępione, wypłowiałe...

Każde studjo posiada innego specjalistę. Więc np. „geografa", którego zadanie polega na odszukiwaniu miejscowości w Kalifornji, gdzie można nakręcić Marokko, a innym razem biegun północny — zależnie od filmu. „Geograf" musi świetnie znać okolice, bo może się zdarzyć, że powie mu reżyser:



Figurant — światowiec.



Figuranci w strojach ludowych bułgarskich nakręcają film w Hollywoodzie.

— Potrzeba mi rzeki, płynącej wśród lasu, mostu, i paru domków na horyzoncie...

Albo też:

— Daj mi pan pyszną willę, otoczoną palmami, na tle — pejzaż górski i droga serpentyną...

„Geograf", jak widzimy, musi być nielada magikiem. Jakiej potrzeba mu pamięci, aby sprostać wszystkiemu — dziś dać Saharę o kilkadziesiąt mil od Hollywoodu, jutro znów Cejlon lub Syberję.

Nie mniej ważną specjalnością jest rekwizytornia broni. Bo jakżeby wyglądał żołnierz napoleoński z karabinem z II-go cesarstwa? Opowiadano mi, że jeden z tych „speców" chwalił się nawet, iż potrafi odróżnić rodzaj broni po odgłosie strzału. Pukano mu za plecami, a ten, niczem kiper, wyspecjalizowany na burgundzie czy bordeaux, określa w mig pochodzenie, rok i datę butelkowania — oznajmiał bez namysłu:

— To jest Mauser niemiecki... A to rewolwer służbowy francuski... To Winchester...

Pewnego dnia jeden z superwisorów postanowił zabawić się jego kosztem. Zebrał nawet, bestja, całe audytorjum wesołków.

— Baczność!...

Usłyszano wystrzał — a „spec", nie mrugnąwszy okiem, określił:

— To angielski karabin — Lee Enfield...

A na to supervisor:

— Enfield, powiadasz?... A ja twierdzę, że wystrzał z torby od bułek... Wprawiałem się przez kilka dni specjalnie dla ciebie!..

*

Powracając do parjasów Dziesiątej Muzy, a właszcza do figurantek, stwierdzam, że stokroć więcej cierpią, gdyż żyją nadzieją, iż któregoś dnia zostaną wyróżnione z pośród tłumu, a w parę miesięcy osiągną karjerę Swanson lub innej Garbo. W Hollywoodzie roi się od pięknych niewiast. Nigdzie może na świecie nie zebrano ich w takiej ilości. Jedna w drugą, jak boginie. Pyszne ciała. Włosy — cud. Oczy, jak gwiazdy. Cery wiośniane. O najmniejszą rolę ubiega się kilkadziesiąt kandydatek. I wciąż nurtujące pytanie — być, albo nie być... uprzejmą dla reżysera.

Kiedy opuszczałem Hollywood, życie w tym raju nie miało już dla mnie tajników. Wszystko zgłębiłem. Każdą radość i każdą tragedję.

Siedząc w wagonie, rozgadałem się z konduktorem. Po chwili rozmowy zapytał:

— *I say...* Wraca pan z Hollywoodu i nie widzę po panu rozczarowania? Ciekawe...

— Bo też byłem tylko widzem, mój przyjacielu...

— A no, chyba... Bo, wie pan, my, na tej linji, mamy możność obserwowania, jak wyglądają ci, co tam jadą i ci, którzy powracają. Oto, naprzykład — w tym przedziale. Widzi pan tę brunetkę? Trzy miesiące temu jechała do Hollywoodu, rozradowana. Śpiewała nawet w wagonie, skakała, jak koza...

Spojrzałem na tę pasażerkę. Siedziała w fotelu, ze zwieszoną głową, znękana, zatopiona w rozmyślaniach. Smutne jej przeżycia można było wyczytać z pięknej twarzyczki. Biedactwo!...



Utalentowany komedjopisarz, Zygmunt Kawecki święcił niebywały triumf na premjerze swej najnowszej sztuki p. t.: „Droga do piekła".

Nędza mieszkaniowa

Panuje ona nietylko u nas, jest zaś straszliwem przekleństwem wielkich miast, ciążącem często nie mniej, niż choroba nad losem człowieka. Decyduje nieraz o śmierci moralnej, wpływa na zmniejszenie się liczby urodzin.

I Niemcy cierpią na nią. Znanym jest proces niejakiej Albrecht, żony robotnika z niemieckiego Górnego Śląska, która nie dopuściła do narodzenia się dziecka, tylko dlatego, że mieszkała z mężem i pierwszem dzieckiem w 3 metrowej komnacie, w której wszyscy spać musieli na podłodze.

Statystyka berlińska wykazuje, że w roku 1926, w jednym tylko 19 komisarjacie (100.000 mieszkańców) spały 4 osoby w jednym pokoju w 1067 mieszkaniach; 5 — w 505, 6 — w 212, 7 — w 52, 8 — w 29, 9 — w 7, 10 — w 6 i 11 w 38 mieszkaniach. Czyż nie potworne! To samo w Buer (Westfalja). Berlińska statystyka z 1929 r. również nie lepiej się przedstawia: 50.000 odnajmuje kąt do spania, 144.000 osób, to sublokatorzy, a 57.747 mieszkań jest antyhigjenicznie przeludnionych.

Jedna tylko szkoła powszechna Nr. 209 (Berlin) stwierdza w swojem sprawozdaniu, że 416 dzieci śpi z rodzeństwem i rodzicami w jednym pokoju.

Nędza mieszkaniowa stała się już treścią najnowszego dramatu niemieckiego p. t. „Święta rodzina" Henryka Kesten'a. Piętnastoletni bohater tej sztuki powiada, klnąc: „obyś był zależnym od urzędu mieszkaniowego i tkwił wraz z rodziną bez pieniędzy w jednym jedynym pokoiku".

Nietylko więc my mamy nędzę mieszkaniową i... „Piekło kobiet".

„Odsupłanie" nowej księgi świętej

Znani językoznawcy z Guatemali, profesorowie Antonio Villakorta i Flavio Rodas, przetłomaczyli niedawno księgę świętą plemienia May'ów (Indjanie), przyczyniając się temsamem wybitnie do wzbogacenia wszechświatowej literatury religijnej. Księga ta nie jest pisana, ani, oczywiście, drukowana, lecz *wiązana*. Pismo, polegające na systemie *węzłów i supełków*, należy do najbardziej starożytnych pism świata. Wygląda zaś taki „dokument" w sposób następujący: do kija przywiązuje się ogromną ilość sznureczków, na których zawiązuje się w specjalny sposób najrozmaitsze węzełki, oznaczające pewne dźwięki. Jest to jednak tylko pismo *pomocnicze*, służące do łatwiejszego zapamiętania tekstu, wyuczonego uprzednio na pamięć.

Najciekawszą częścią tej nowoodkrytej „biblji" jest kosmogonja, czyli historja powstania świata.

„Trzykrotnie usiłowali bogowie stworzyć człowieka. Po raz pierwszy zrobili go z gliny, był jednak tak głupi i niezgrabny, że oburzeni bogowie prędko go zniszczyli i wyciosali nowego z drzewa. Człowiek drewniany był zaś tak grubjański i złośliwy, że i jego trzeba było zniszczyć. Kilku jednak drewnianych ludzi ocalało i uciekło do puszczy, stając się założycielami plemienia małp. Bogowie stworzyli wówczas ludzi z ciasta, mądrych, lecz bardzo chytrych. Znużeni już bogowie pozwolili im żyć, „zaśmili" im tylko umysł. Dlatego to właśnie ludzie, pomimo swej mądrości, wciąż błądzą i nie są w stanie poznać tajemnic świata".

Dalszym ciągiem „biblji" May'ów jest ich historja, doprowadzona aż do zniszczenia ich państwa przez Hiszpanów w 1524 r. Twierdzi ona, że May'owie, to najbardziej cywilizowany naród na ziemi, ludzie zaś biali, to brutalni barbarzyńcy.

Może i słusznie!



Gruby Fatty, miły wesołek, który bezpośredniością swego humoru zdobył sobie popularność na wszystkich ekranach świata. Zmarł ostatnio w nędzy.



Gen. Roman Górecki bawił ostatnio we Francji. Na fotografji — uroczystość złożenia wieńca na grobie Nieznanego Żołnierza w Lyonie.



Pochód primusów szkół rumuńskich w strojach ludowych przed Królem Karolem i Następcą Tronu.

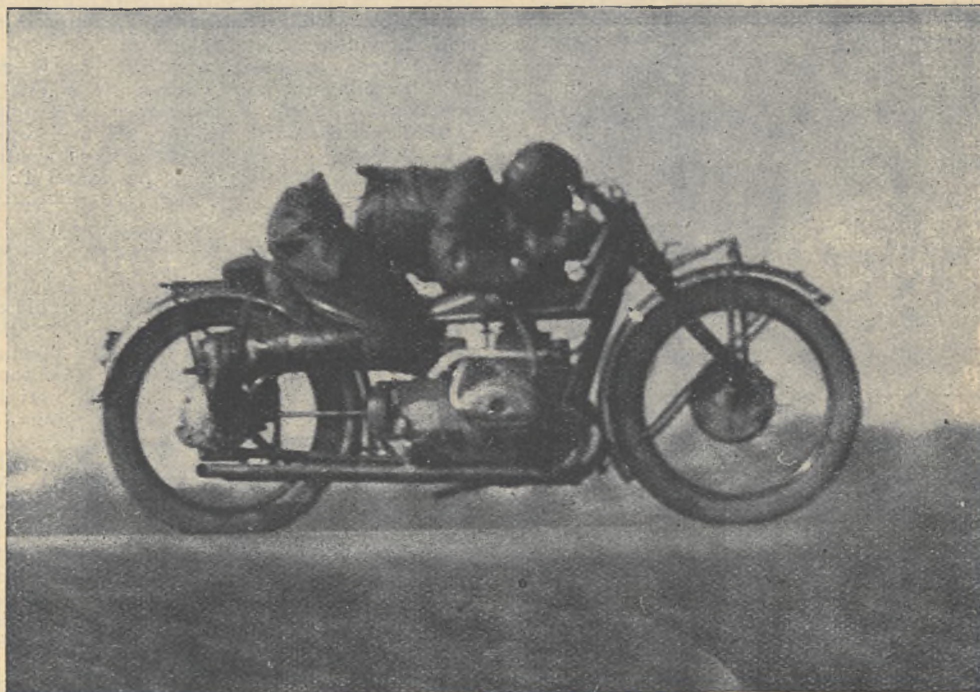
W kuluarach Sejmu i Senatu życie znów zamarło na szereg miesięcy — zapewne do jesieni. Uchwalenie umowy z Francją w sprawie budowy kolei G. Śląsk—Gdynia zostało przeprowadzone z błyskawiczną niemal szybkością. Tu i ówdzie jeszcze opozycyjne pisma zamieszczają komentarze na temat sesji nadzwyczajnej.

W tych dniach otwarto Kongres polsko-jugosłowiański, na który ściągnęli najwybitniejsi przedstawiciele pobratymczego narodu. Obrady toczą się kolejno w trzech miastach — w stolicy, w Poznaniu i w Krakowie.

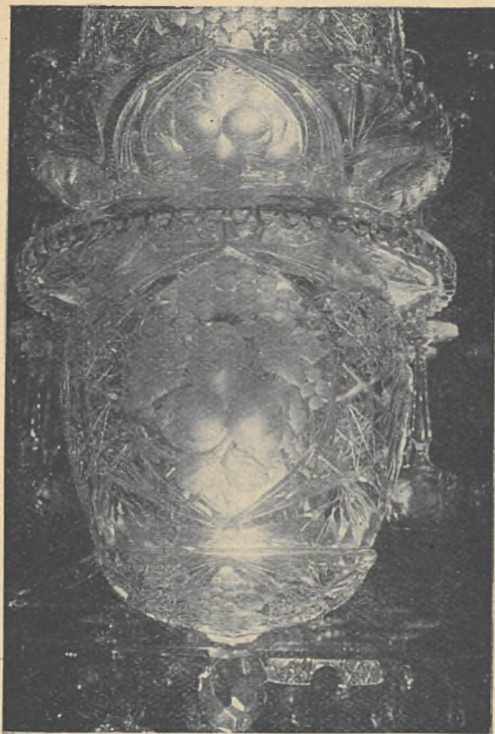
Szpalty pism francuskich zapełnione są domysłami, dotyczącemi przyszłych wyborów na Prezydenta Republiki. Kandydatura Brianda zdaje się przybierać coraz konkretniejsze formy.



Klęska głodu w Arkansas, o której pisaliśmy niedawno, wciąż jeszcze daje się we znaki miljonowym rzeszom ludności. Czerwony Krzyż amerykański zajął się zwłaszcza dożywianiem dzieci.



Znany sportsman Schweitzer osiągnął szybkość 138 klm. na godzinę. (fot. Walter)



Piękny, wiszący klejnot, ozdoba każdego domu.

Wiszące djamenty



Nadawanie bryle szkła zasadniczej formy.

Przepiękne pająki, butony z kryształu, djademy ze szkła, kaskada światła, załamująca się w tysiącznych powierzchniach, miljonach skier, różnobarwną gamą barw od złota po przez czerwień do błękitu...

Pyszne „wiszące djamenty", nabywane dzisiaj, niestety, przez ludzi jedynie bogatych.

Nie wyszukiwane żmudnie w niezgłębionych kopalniach dalekich lądów, ale powstałe w pracowitych rękach szlifierzy, prawdziwych mistrzów swego artystycznego fachu.

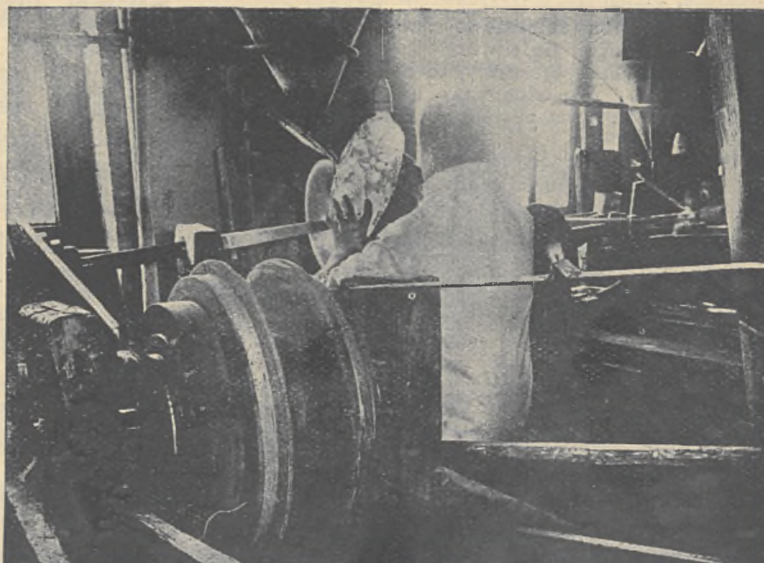
Z szarej, matowej poczwarki, wylęgłej w hucie szklanej, z rury wydmuchiwacza szkła powstają, wśród piekielnego, rozdzierającego uszy zgrzytu i hałasu, przeróżne dziwaczne figury geometryczne. Przeróżnej wielkości i kształtu brusy, pilniki i kamienie wyciskają na niekształtnej powierzchni wieloboki, wielokąty, tworząc wewnątrz ognisko, z którego promienie, załamując się nieskończoną ilość razy, wytryskują na zewnątrz oślepiająco dla oka. Czasami delikatna polewa, przytłumiająca nawałnicę blasku lub nadająca patynę jakby starości, stanowi końcowy proces stwarzania „wiszącego djamentu".



Grawerunek.



Ostatni retusz, wygładzający powierzchnię rysunku.



Model jest szlifowany na wartko obracającym się brusie.

J. S. FLETCHER. 10)

MORDERSTWO NA OGRODOWEJ

Streszczenie poprzednich rozdziałów.

Do młodego adwokata, Shelmore'a, zamieszkałego w miasteczku Southemstowe, zgłasza się młoda panna, Cyntja Gretty, z tem, że opiekun jej, pan Deane, zniknął nagle z hotelu, w którym miał na nią oczekiwać. Adwokat i Cyntja udają się do hotelu, by zbadać sytuację na miejscu. Wzywają inspektora Mellaponta, który, po śledztwie wśród służby, powierza sprawę swemu najzdolniejszemu detektywowi, Johnowi Hackdale.

— W okolicy piasczystej polany znajduje się kilka domów, ale są to przeważnie prywatne wille, zamieszkane przez potentatów miasta— odparł Mellapont. — Cała Ogrodowa ulica zabudowana jest takiemi willami.

— I to właśnie najciekawsze, co opiekun mój mógł robić w tej dzielnicy? — szepnęła panna Pretty w zamyśleniu. — Właściwie, dlaczego policja nie zrewidowała tych wszystkich domów? Jeżeli Deane złożył w którymś z tych domów wizytę...

— Tego nie możemy być pewni, — przerwał Mellapont. — Może zamierzał dopiero odwiedzić kogoś i zbrodniarz mu przeszkodził. Gdyby o tak spóźnionej porze przyszedł do kogoś z wizytą, napewno na pukanie do drzwi odpowiedziałby ktoś ze służby, a teraz, gdy nagroda została ogłoszona, napewnoby ten ktoś bezzwłocznie się do nas zgłosił.

— A może Deane specjalnie z kimś się umówił? — zauważyła panna Pretty.

— To nie udawałby się tak wcześnie na spoczynek, — odparł Mellapont. — Wiemy przecież dokładnie, że oprócz Bellinga, nieboszczyk od chwili przybycia swego do hotelu, aż do chwili zniknięcia, z nikim absolutnie nie rozmawiał. Przypuszczam, że zamierzał odwiedzić kogoś na mieście, ale wizyta ta nie doszła do skutku.

Panna Pretty podniosła się z fotela i w zamyśleniu rozglądać się poczęła po obszernym gabinecie inspektora.

— Czy ma pan jakieś nowości w tej sprawie? — zapytała nagle, po chwili.

— Jeśli mam byc szczery, to nie, — odparł Mellapont. — Nie zrobiliśmy ani kroku naprzód. Cała ta sprawa staje się coraz bardziej tajemnicza.

Panna Pretty skinęła mu głową na pożegnanie i wróciła do apartamentu swego w hotelu Chancellor. Przed paru już dniami zakomunikowała Bellingowi, że ma zamiar pozostać dłużej w Southernstowe i że chciałaby zamienić dotychczasowy pokoik na wygodniejszy i elegantszy apartament. Teraz właśnie, po powrocie z Komendy Policji, przepędziła w saloniku swym kilka godzin na samotnych rozmyślaniach. Wreszcie, w pewnej chwili, podeszła do biurka i poczęła redagować treść plakatu, w którym suma nagrody została podwojona. Własnoręcznie wręczyła wzór plakatu Pembertonowi, prosząc, aby po wydrukowaniu kazał nowe plakaty rozlepić na mieście. W samotności swej doszła do wniosku, że najlepiej będzie nie wtajemniczać nawet adwokata Shelmore w to, co obecnie czynić zamierzała. Przecież, właściwie, śmierć Jamesa Deane ją jedną tylko dotknęła naprawdę.

Nazajutrz, koło południa, mieszkańcy miasteczka ujrzeli na rogach ulic nowe ogłoszenia o nagrodzie. Panna Pretty przeznaczała trzy nagrody, a mianowicie: tysiąc funtów obowiązywała się wypłacić temu, kto widział Jamesa Deane owej tragicznej nocy po wyjściu z hotelu Chancellor. Tysiąc funtów miała otrzymać osoba, która mogłaby powiedzieć cośkolwiek o zrabowanej biżuterji. I wreszcie trzy tysiące funtów miało być wypałcone temu, kto udzieli jakichśkolwiek informacyj, które dopomogą do zaaresztowania mordercy Jamesa Deane.

Pierwszym przechodniem, który przeczytał owe ogłoszenie, był Simmons Hackdale. Na widok tak znacznych sum, ręce mu drżeć poczęły ze wzruszenia. Żeby tak wpaść na jakiś ślad, żeby tak móc wykryć mordercę! Nie miał pojęcia, że tego samego jeszcze popołudnia nadarzy mu się niezwykła okazja. Shelmore zawołał go do swego gabinetu, oświadczając poważnie, że pragnie mu powierzyć pewną misję. Oto chciałby, aby Simmons pojechał do Normansholt nazajutrz rano i zbadał na miejscu stan majątkowy dzierżawcy posiadłości, sir Reville Childerstone...

Simmons wrócił do domu, aby się przygotować do drogi. Pakując małą, podróżną walizkę, przypomniał sobie słowa Shelmore, zwrócone do sir Reville i opowiadanie o kolekcji kart widokowych Jamesa Deane. Przyszła mu na myśl owa tajemnicza pocztówka, opatrzona jakimś specjalnym znakiem. Czyżby miasto Normansholt miało coś wspólnego z zamordowanym?

ROZDZIAŁ IX.

SWOI.

Po przebyciu dwustu pięćdziesięciu mil Simmons znalazł się w Normansholt nazajutrz o szóstej popołudniu. W północnej części Anglji był po raz pierwszy i w porównaniu z południem wydało mu się tu dziwnie szaro i posępnie. Wędrując po mieście, doszedł wreszcie do starego rynku i wzrok jego spoczął na staroświeckim hotelu „Pod niedźwiedziem", do którego wstąpił, aby wynająć pokój i zamówić obiad. Simmons miał przy sobie dużo pieniędzy, otrzymanych od Shelmore na wydatki w podróży. Kierował się zazwyczaj zasadą, że swoje pieniądze należy oszczędzać, ale z chwilą, gdy się ma w kieszeni pieniądze cudze, można sobie pozwalać na wiele zbytków. Zresztą zasadą tą przeważnie kierują się wszyscy niemal ludzie i nie można jej uważać za wielką wadę, chociaż jednocześnie nie jest ona zaletą.

Kończył już prawie swój obiad w sali restauracyjnej hotelu „Pod niedźwiedziem", kiedy w pewnej chwili podszedł doń kelner, a za nim młody jakiś jegomość o uprzejmym wyrazie twarzy. Kelner wymienił nazwisko Simmonsa, które znał już widocznie z rejestru hotelowego, a młody nieznajomy zdjął kapelusz i podszedłszy do stolika, uśmiechnął się grzecznie.

— Pan Hackdale z Southernstowe? — zapytał z ukłonem. — Pan Simmons Hackdale?

— Tak, to ja, — odparł Simmons, spoglądają na obcego młodzieńca z zaciekawieniem. — Ma pan do mnie jakiś interes?

— Jestem Swale, Swilford Swale z Pike i Pilkins, panie Hackdale, — rzekł znów nieznajomy. — Pan Shelmore nas zawiadomił, że przysyła tu pana dla skontrollowania stanu majątkowego upadłości sir Reville Childerstone. Domyśliłem się odrazu, że zatrzyma się pan „Pod niedźwiedziem", więc przyszedłem tutaj, aby powitać pana. Jest pan po raz pierwszy w naszem mieście, prawda?

— Nigdy nie byłem w tych stronach — odparł Simmons. — Bardzo jestem panu wdzięczny, panie Swale. Gdybym wiedział, że pan się zjawi, zaczekałbym na pana z obiadem. Może napijemy się czegoś?

Swale zapewnił, że obiad jadł właśnie przed chwilą i po dłuższych ceregielach zdecydował się wreszcie na wypicie szklanki starego porteru, z którego słynęła restauracja hotelu „Pod niedźwiedziem". Simmons zamówił porter, prosząc jednocześnie nowego znajomego, aby zechciał zająć miejsce przy stoliku. Potoczyła się dość ożywiona rozmowa. Swale opowiadał Simmonsowi o Pike i Pilkinsie, Simmons zaś

o adwokacie Shelmore. W międzyczasie wypili obydwaj po dwie szklanki porteru i skonstatowali całkiem mimowoli, że zadzierzgnęła się między nimi przyjaźń.

— Co teraz będziemy robić? — zapytał Swale, gdy obydwaj z Simmonsem wychodzili z sali restauracyjnej. — Niema tu u nas rzeczy specjalnie ciekawych, ale warto byłoby obejrzeć niektóre zabytki. Z miejsc rozrywkowych posiadamy tylko teatr i kino, a gdyby pan zechciał zagrać w bilard, zabiorę pana do klubu. Noc jest prześliczna, moglibyśmy więc przejść się po mieście i obejrzeć coś nie coś, przytem po drodze możemy wstąpić do sławetnej tutejszej winiarni, której właściciel jest moim przyjacielem. Dają tam doskonały porter, lepszy nawet od tego, który piliśmy tutaj przed chwilą. No, co pan wybiera?

Oczywiście, Simmons wybrał przechadzkę po mieście, a Swale z przyjaznym uśmiechem ofiarował się na przewodnika. Oprowadził go po ważniejszych ulicach miasta, pokazał mu miejscową katedrę, zamek, ruiny dwóch, czy trzech opactw i stare domy, pełne zabytków. Wreszcie skierowali się na mały placyk, po środku którego wznosiła się wysoka wieża.

— Takie wieże rzadko się spotyka w obecnych czasach w Anglji — rzekł Swale. — Staroświecki słup majowy, jest on już teraz zabytkiem, ale dawniej, przed stu laty, mieszkańcy Normansholt urządzali w tem miejscu zabawy na cześć święta wiosny.

— Nigdy takich rzeczy nie widziałem, — przyznał Simmons. — Chociaż o święce wiosny słyszałem niejednokrotnie.

— Plac ten, — ciągnął dalej młody cicerone, — nazwano „Dniem majowej zieleni". W dawnych czasach urządzano tu zabawy i tańczono dokoła tego słupa. O zabawach tych niejednokrotnie opowiadał mi mój dziadek, a nawet pamiętam, gdy byłem jeszcze dzieckiem, słup majowy dekorowano co roku kwiatami. Dzielnica ta jest najstarszą dzielnicą Normansholt. Znajduje się tu również oberża „Pod słupem majowym", do której właśnie chciałbym pana zaprowadzić. Po tamtej stronie wznosi się stara rezydencja, zwana „Dworem szlacheckim". W „Dworze szlacheckim" mniej więcej przed dwudziestu laty zaszedł bardzo dziwny wypadek. Sam dokładnie tego nie pamiętam, ale niejednokrotnie opowiadał mi o tem mój ojciec.

— Cóż to takiego było? — zapytał Simmons.

— Pewien jegomość, który tam stale mieszkał, zniknął w tajemniczy sposób, — odrzekł Swale. — Historja podobna do tych, które się czyta w bajkach i uważa się za wytwór bujnej wyobraźni autora. Bardzo chętnie ją panu opowiem, ale wstąpmy na szklaneczkę porteru do oberży „Pod majowym słupem".

Po chwili znaleźli się obydwaj w staroświeckiej oberży, która musiała jeszcze pamiętać czasy królowej Elżbiety i sprawiała wrażenie obszernej sali rycerskiej, zbudowanej w czasach średniowiecznych. Swale z przykrością dowiedział się, że gospodarz był nieobecny, kazał więc kelnerowi podać butelkę najlepszego porteru i usadowił Simmonsa w zacisznym kącie oberży, tuż przy kominku, na którym płonął wesoło ogień.

— Teraz opowiem panu historję „Szlacheckiego Dworu", — rzekł, gdy obydwaj zagłębili się w miękkich, niskich fotelach. — Niejednokrotnie już przychodziło mi na myśl, aby spisać tę całą historję i przesłać ją do któregoś z pism londyńskich, nigdy jednak nie posiadałem dostatecznego zasobu odwagi. Może pan potrafi łatwiej to wykorzystać?

— Przedewszystkiem radbym tę historję usłyszeć — odparł Simmons z uśmiechem. — Cóż to było za tajemnicze zniknięcie?

— Naprawdę tajemnicze i do dzisiaj niewytłumaczone! — szepnął Swale z powagą. — Jeszcze teraz tutejsi mieszkańcy wspominają ten oryginalny wypadek! Zniknięcie człowieka który mieszkał w „Dworze Szlacheckim" przed dwudziestu dwu laty. Nazywał się Arradeane.

— Arradeane, a, podwójne r, a, d, e, a, n, e, — odparł Swale, sylabizując literami. — Dziwne nazwisko, nieprawdaż? Nazywał się James Arradeane, był inżynierem.

(D. c. n.)

ROZRYWKI UMYSŁOWE

WIELKI KONKURS ZADANIOWY „7 DNI"

Począwszy od 12-go N-ru rozpoczęliśmy wielki *wiosenny konkurs zadaniowy.*

Konkurs obejmuje zadania, umieszczone w niniejszym, oraz sześciu poprzednich N-rach.

W każdym n-rze zamieszczamy kupon, oznaczony kolejnym n-rem. W terminie 10-dniowym po ukazaniu się ostatniego zadania konkursowego należy nadesłać wszystkie rozwiązania wraz z kuponami listem poleconym p. a. redakcji. W dniu, o którym nastąpi zawiadomienie, w lokalu wydawnictwa odbędzie się publiczne losowanie nagród.

Nagrody

Wśród Czytelników, którzy rozwiążą trafnie wszystkie zadania konkursowe, zostaną rozlosowane

cenne nagrody w liczbie sześciu.

Oprócz tych nagród przewiduje się *szereg nagród dodatkowych, w postaci książek beletrystycznych, oraz nagrody pocieszenia.*

LOGOGRYF

Ósme zadanie konkursowe.

al, cy, da, e, et, ga, gwi, gier, ja, ki, ma, ma, mob, ne, no, ny, o, ot, or, ras, re, ru, ser, sus, ta, ter, un, ur, wa, ward, wi, wid.

Z powyższ podanych sylab ułożyć piętnaście wyrazów według podanego znaczenia. Początkowe i końcowe litery wyrazów, czytane z góry ku dołowi, utworzą imiona i nazwiska dwuch mężów stanu.

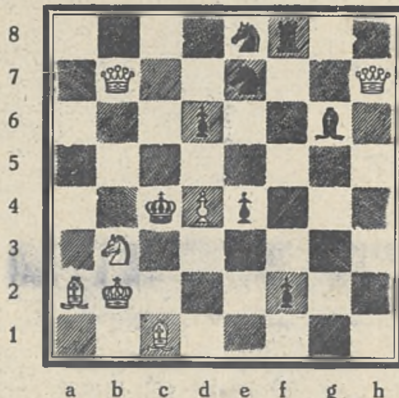
Znaczenie słów:

1. Kraj w Afryce
2. Kolonja francuska
3. Imię męskie
4. Inaczej balkon
5. Pseudonim poety polskiego
6. Nieznane dotąd wieści
7. Imię biblijne
8. Moneta skandynawska
9. Postać z Quo-Vadis
10. Skrót wojskowy (oznaczający sprawy powołania pod broń armji).
11. Gaz odurzający
12. Rącze konie
13. Pojęcie muzyczne
14. Jeden (w jęz. obcym)
15. Imię męskie

SZACHY

M. Havel

I-II n. Trollhättan 1930.



Mat w 3 posunięciach.

Konkurs zadaniowy „7 Dni"

KUPON Nr. 7

Poradnik dla chorych i zdrowych

Pan F. w W.

PYTANIE: Każda zmiana pogody (zwłaszcza obecnie, na wiosnę) zawsze wywołuje u mnie zaziębienie, przeważnie katar, co mi utrudnia w znacznym stopniu pracę zawodową i życie towarzyskie. W jaki sposób mógłbym możliwie najprędzej pozbyć się tej przykrej skłonności do zaziębień?

ODPOWIEDŹ: Przedewszystkiem należy się ubierać odpowiednio do pogody i unikać przeciągów. Następnie radzimy zażywać 2—3 oryginalnych tabletek Aspiriny dziennie, gdyż działają one w sposób niezawodny przy wszystkich zaziębieniach. Oryginalna Aspirina jest do nabycia we wszystkich aptekach.

Impresje teatralne



Znana plastyczka, Adolfina Paszkowska, urządza w dn. 10 maja poranek artystyczny w teatrze „Wesoły Wieczór". W programie produkcje dziecięce, fragmenty operowe w opracowaniu plastycznem p. Paszkowskiej oraz ciekawe stylizacje tańców charakterystycznych.



Jadwiga Smosarska i Lenczewski w „Dobrej wróżce" (Teatr Letni). (fot. Malarski)

TEATR LETNI: „Dobra wróżka", komedja Fr. Molnara.

„Dobra wróżka" — to Lu, ale nie „kokota Lu", tylko raczej kandydatka na „takową". Narazie jest „robaczkiem świętojańskim", to znaczy bileterką w kinie, wskazującą miejsca i pobłyskującą ognikiem latarki elektrycznej w mroku widowni. Otóż Lu pragnęłaby również nieco światła w mroku swej szarej egzystencji. Chciałaby, a... boi się. Ma skrupuły, które często miewają istotki tego typu. Gdyby jeszcze się zakochała w tym „bogatym", albo gdyby musiała sprzedać się, aby utrzymywać „staruszeczkę matkę" lub „kwilące niemowlę"! Chodzi o to, aby mieć jakieś usprawiedliwienie przed samą sobą. Wreszcie ma cel. Jeżeli już inaczej nie można, niech choć ktoś jej upadek podniesie. Gdzie takiego znaleźć? Byle gdzie, pierwszy lepszy z książki telefonicznej. Ale potem wszystko jakoś w ostatniej chwili staje się inaczej. Trudno, musimy się z tem pogodzć i chcemy już iść do domu. Ale nie! Każą nam jeszcze zostać. I pokazują, co się stało po 10 latach. Jeszcze inaczej! Bardzo dobry pomysł! Od dziś żądamy, aby każda sztuka miała epilog. Abyśmy mogli się przekonać, co się stało po sakramentalnym pocałunku końcowym, po owem narzeczeństwie czy małżeństwie, którem kończy się niemal każda sztuka. Co będzie dalej, jak potoczy się w... policzek, miłość w nienawiść, harmonja w niezgodę, narzeczeństwo Mały, krótki epilog. Zobaczymy, czy ten pocałunek w usta nie przemieni się w... policzek, miłość i nienawiść, harmonja w niezgodę, narzeczeństwo w zerwanie, małżeństwo w rozwód. To bardzo ciekawe i to powinno zawsze być. — Jadwiga Smosarska, zazwyczaj grająca na ekranie, tym razem grała osobę, której życie i pojęcia formowały się na podstawie oglądanych filmów. Była nietylko dobrą „Dobrą wróżką", ale i bardzo piękną. Umiała uchwycić zręcznie naiwną podlotkowość, kształconą na wzorach filmowych, przyprawioną umiejętnie posmaczkiem charakterystycznym. Rolę swą przeprowadziła bardzo konsekwentnie i z talentem, mając, zresztą, doskonałego partnera w Orwidzie oraz innych swych kolegach. Bardzo dobrze wyreżyserował sztukę Chaberski.





Droga do piekła" Zygmunta Kaweckiego w teatrze Małym jest właściwie „Drogą do śmiechu". (fot. Brzozowski)

Teatr Mały: „Droga do piekła" Zygmunta Kaweckiego.

Gdy się takich dwóch najmilszych wesołków, jak Zygmunt Kawecki i Marjusz Maszyński zabierze do rozśmieszania publiczności, to już rzeczywiście rozlegają się takie salwy i huragany śmiechu, jak nigdy. I jeżeli rzeczywiście „śmiech — to zdrowie", w takim razie trudno o lepsze sanatorjum, niż teatr Mały. Ale bo też jeszcze w żadnej sztuce nie było tyle rozkosznych szaleństw, co w tej. Maszyński gra nogami na fortepianie, śpiewa (?) barkarollę Galla, że cała sala ryczy, a ponadto tak komicznie węszy, że zaczynamy się zastanawiać „poważnie" nad znaczeniem tego stanowczo niedocenianego zmysłu. Coprawda, trudno też o aktora o tak wybitnym organie powonienia.

Aby zaś było nietylko wesoło, ale i ponętnie, pokazano nam „z najlepszej strony" pp. Romanównę, Sulimę, oraz szereg stanowczo zbyt skrzętnie ukrywanych pp. Tarnowiczównę, Grelichowską i Chojnacką. Na pochlebną wzmiankę zasługują również skutecznie wysiłki pp. Małkowskiego, Karczewskiego i Fritchego. Powodzenie — murowane, czego najmilszemu „koledze Zygmuntowi" życzymy z całego serca.

TEATR „NOWOŚCI": „Wiktorja i jej huzar", operetka Pawła Abrahama.

Bez kwestji najlepsza operetka, jaką oglądaliśmy w Warszawie od wielu lat. Muzyka znanego kompozytora filmów dźwiękowych, debiutującego tym razem w operetce — prześliczna. Zarówno soczyste melodje węgierskie, jak upojne walce, a zwłaszcza „foxy", przepojone iskrzącym się rytmem i przepysznym humorem muzycznym, zasługują na najwyższą pochwałę.

Wystawa bardzo gustowna (zasługa arch. Nagórskiego). Zmiany dekoracji w tempie kinematograficznem przy otwartej kurtynie, doskonała reżyserja Pawłowskiego — oto ramy dla szeregu znakomitych kreacyj, wśród których na pierwszem miejscu postawić wypada „Wiktorję" (Elna Gistedt) i „jej huzara" (Wawrzkowicz), ale świetnie spisała się i cała reszta zespołu z nad wyraz udatnie debiutującą Rylską, przekomicznymi Szczawińskim i Tatrzańskim, Dembowskim, Kulczycką i Redą.

Henryk Liński.

Nowinki z Opery Warszawskiej

Zawsze wytwornie uprzejmy dyrektor Opery Warszawskiej, p. Popławski, ma na twarzy wyraz skromnego tryumfu i radości. Powód? Czterdzieste z kolei przedstawienie „Orfeusza w piekle". To istotnie rzecz niebywała: 40 przedstawień w jednym sezonie.

Korzystam z takiej miłej okazji i proponuję p. Popławskiemu krótką rozmowę.

— Czy i co szykuje p. dyrektor nowego jeszcze w tym sezonie?

— „Noc w Wenecji", operę komiczną Jana Straussa, pod dyrekcją p. Rudzińskiego, w obsadzie: Wermińska, Karwowska, Szereszewska, Bregy, Romejko i Janowski. Reżyserja moja. Pozatem przygotowujemy prawie całkiem nieznany jednoaktowy balet Moniuszki „Na kwaterze", wystawiony po raz pierwszy w roku 1860. Odszukanie partytury i starania o zezwolenie przepisania jej, nastręczyło niemało trudu, bowiem jedyny egzemplarz partycji znajduje się w muzeum. W tem samem widowisku pójdzie dwuaktowy balet Eugenjusza Morawskiego „Świtezianka" (scenarjusz kompozytora), oraz jednoaktowy poemat taneczny Piotra Rytla „Faun i Psyche", który stanowi inscenizację poematu symfonicznego tegoż autora p. t. „Święty gaj". Wszystkie balety prowadzić będzie dyr. Dołżycki, a dekoracje do nich przygotowuje Wodyński. Choreografja dyr. Piotra Zajlicha.

— Jak się przedstawia sprawa wyjazdu naszego zespołu baletowego do Italji?

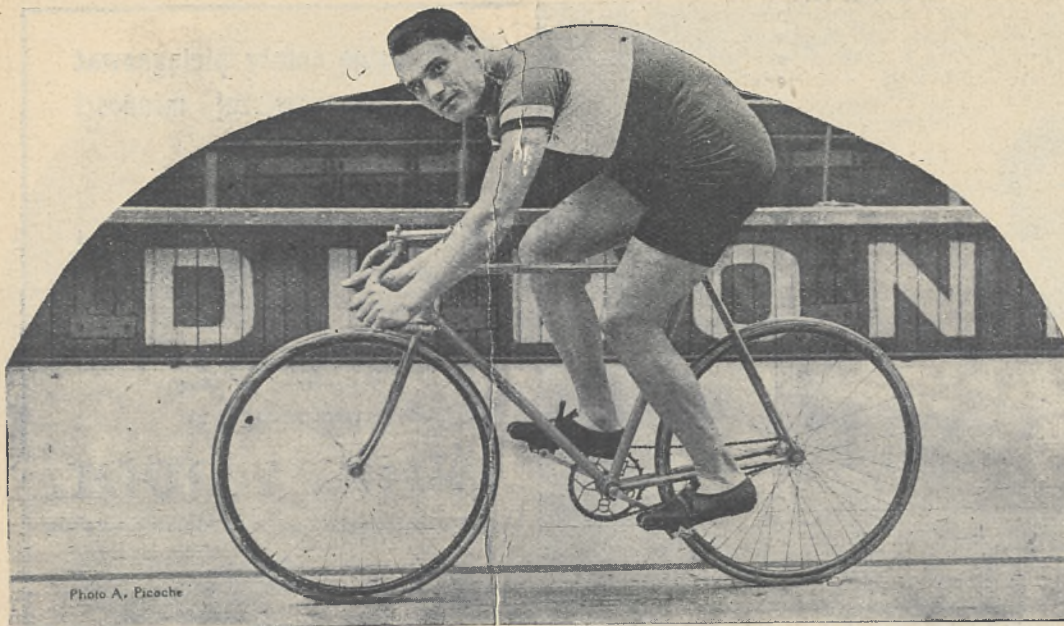
— Imprezy tej, jak dotychczas, nie można traktować, jako całkowicie dojrzałą. Pertraktacje są jeszcze w toku i mam nadzieję, że dadzą wynik pozytywny. Z naszej strony czynimy wszystko, aby rzecz czemprędzej dojrzała, gdyż impreza taka ma niezwykłe znaczenie propagandy naszej sztuki na terenie Italji. W każdym razie przewiduje się, że wyjazd zespołu baletowego nastąpiłby w pierwszych dniach czerwca, na przeciąg trzech tygodni. W projekcie jest 16 przedstawień w różnych miastach i, oczywiście, jedynie baletów polskich, a przedewszystkiem: „Pana Twardowskiego", „Święto ognia", „Kupałę" i wspomnianych wyżej, będących w przygotowaniu.

— Czy są przewidziane jakieś wznowienia w tym sezonie?

— Oczywiście. Na pierwszy plan pójdą „Hugonoci" Meyerbera, opera, u nas od czterech lat nie grana. Obsada: Wermińska, Leska, Bandrowska, Gruszczyński, Romejko, Michałowski i Mossoczy. Orkiestrę prowadzi dyr. Berdiajew.

Jeszcze raz gratuluję czterdziestego przedstawienia „Orfeusza".

m. s.



Paryskie „Six - Days"

Paryż, w kwietniu.

Paryskie „Six-Days" — sześciodniowe wyścigi kolarskie w Velodrome d'Hiver — są jednem z największych wydarzeń sportowych i towarzyskich zimowo-wiosennego sezonu Paryża.

Mając ustaloną renomę, są przez sześć dni i sześć nocy miejscem rendez-vous amatorów sportu i silnych wrażeń. Sportu jest tu, wprawdzie, niewiele, ale widowisko nieporównane.

Velodrome d'Hiver zamienia się w jakieś koczowisko ludzkie na sześć dni i sześć nocy. Olbrzymia, wysoko sklepiona hala wypełniona jest prawie stale do ostatniego miejsca, od dołu — peluzy — w obrębie elipsowatego toru kolarskiego, gdzie przy stolikach restauracyjnych zbiera się śmietanka towarzyska, płacąc po 100 franków i więcej za miejsce, aż do najwyższych galeryj, zapełnionych zbitym tłumem „plebsu", gawiedzi, kibiców sportowych.

Przedstawia to widok, który, przy całej swojej malowniczości, ma w sobie coś niesamowitego, przez swój koloryt, przez swoje apokaliptyczne formy. Złoty pył unosi się bez przerwy w powietrzu, przyciemniając światła lamp i reflektorów, a chmury dymu tytoniowego i opary unoszą się nieustannie nad morzem głów, tak, że z jednego końca sali patrząc w drugi, widzi się tylko niewyraźne zarysy jakiejś tysiącogłowej hydry we mgle.

W tej atmosferze, dusznej, naelektryzowanej, wśród nieustającego szumu i zgiełku, „kręci" bez przerwy kilkanaście ekip kolarskich po drewnianym torze. Ciągle i ciągle w kółko — sześć dni i sześć nocy, że aż obawa zbiera, czy nie skończy się to dla nich kompletną kołowacizną. Byłoby tak zapewne, gdyby nie kolejna zmiana.

Ciekawe jest to, że w początkach 6-dniowych wyścigów zawodnicy musieli „kręcić" każdy na „swoje konto", teoretycznie bez przerwy sześć dni i sześć nocy. W welodromie Madison Square w New-Yorku, gdzie były urządzane pierwsze Six-Days, zawodnicy, którzy prawie nie odpoczywali, nie chcąc tracić punktów, dostawali formalnej kołowacizny po takiej piekielnej rundzie i wdrapywali się na drzewa, wyjąc do księżyca.

Zmęczenie daje się odczuwać najbardziej zrana i wtedy wielobarwny wąż „6-dniowców" zwalnia tempo, przestępując prawie „z nogi na nogę", podczas gdy druga połowa kolarzy odpoczywa, posila się i wysypia. Wieczorem natomiast i w pierwszych godzinach nocnych rozpala się walka.

Tłum łaknie ciągle szarpiących nerwy i podniecających starć i nie kontentuje się tem, co ambicja i chęć zwycięstwa zawodników przedsięweźmie. Trzeba energję i zapał 6-dniowców pobudzać argumentem brzęczącej monety — systemem premij, udzielanych do rozegrania przez hojnych mecenasów, łasych na popularność i poklask tłumu. Rzecz jasna, że i wielkie firmy wykorzystują sposobność dla reklamy. Jak pięknie brzmi, gdy głośnik ogłasza, że Citroen ofiaruje 10.000 do rozegrania; tłum wyje, cieszy się i oklaskuje Citroena, a pluton cyklistów, którzy wszyscy są zawodowcami, budzi się ze śpiączki i rozpoczyna wyścig szalony.

W tym roku, w paryskich wyścigach 6-dniowych, które zakończyły się przed kilku dniami, rozegranych zostało premij na ogólną sumę 316.000 franków. Z tego jeden z zawodników, który zdobył ich najwięcej, zainkasował dla siebie ich zgórą 40.000.

Rekord ilości premij został pobity w stosunku do lat poprzednich. Z roku na rok pobija się też inne rekordy. Mimo prohibicyjnych cen, popularność wyścigów rośnie i liczba widzów też. Gdy z powodu braku miejsc, przestaje się sprzedawać bilety, tłum szturmuje do bram i policja musi niejednokrotnie interwenjować.

Paryskie Six Jours 1931, w których udział wzięli najtężsi zawodowcy francuscy, włoscy, holenderscy i amerykańscy, zakończyły się zwycięstwem ekipy włoskiej Linari-Dinale. Nie trzeba jednak sądzić, że wszystko rozgrywa się w ramach walki sportowej w najlepszem tego słowa znaczeniu. Wprost przeciwnie: za kulisami rozgrywa się najczęściej taniec przekupstwa i frymarki. „C'est la combine" — jak mówi popularna dziś w Paryżu piosenka, którą lansuje bohater świetnego filmu sportowego „Le Roi des Resquilleurs" — Georges Milton.

Dyrektor Welodromu Zimowego, nie szczędząc pieniędzy i reklamy, uczynił wielki wysiłek na rzecz ekipy francuskiej Pelissier-Leducq, którzy są wielkimi faworytami publiczności sportowej od zeszłorocznego „Tour de France". Ich zwycięstwo zdawało się być zapewnione. Mimo to „imponderabilia" grają jeszcze swoją rolę, są nawet wśród zawodowców tacy, którym zależy bardziej na ambicji sportowej i zwycięstwie, niż monecie, zwłaszcza, gdy ofiarują im tylko kilka tysięcy franków.

Trzeciego dnia ujawniła się ogromna wyższość ekipy holenderskiej Van Kempen-Pejnenburg, z których pierwszy jest specjalistą 6-dniowych wyścigów, a drugi okazał się niezwykle wytrzymałym atletą. Zwrócono się do Van Kempena, aby pozwolił na wygraną ekipy Pelissier-Leducq. Zgodził się, ale zażądał 70.000 franków. Suma ta wydała się za wysoka i „rokowania" zostały zerwane. Walka rozgorzała na nowo, ale sześć ekip, przekupionych przez managerów, zblokowało się przeciw Holendrom. Udało się zmęczyć ich i nie pozwolić na wysunięcie się naprzód w klasyfikacji. Ponieważ jednak Pelissier okazał się zbyt już zużyty, by mógł zostać zwycięzcą, wysunięto drugich faworytów francuskich — ekipę Choury-Fabre. Tym razem sprawa zdawała się być załatwiona po myśli „kombinatorów".

Van Kempen pokazał jednak jeszcze swoje pazury. Wściekły z takiego obrotu sprawy, poprzysiągł, że nie będzie „kręcił w kółko" i że jeśli sam nie zwycięży, pomoże do wygranej swoim starym znajomym, Włochom: Linari i Dinale. I tak się też stało. Ku rozczarowaniu jednych i ku zdumieniu innych, Van Kempen tak zręcznie „kołował", że umożliwił Włochom zwycięstwo.

Kazimierz Kukucz.

Wśród książek

Jan Rzewnicki — Bohaterowi... — Obraz dramatyczny z powstania styczniowego. — Nakładem Koła Polsko-Włoskiego im. Leonardo da Vinci. — Warszawa, 1931.

W okresie rozpamiętywania, poświęcenia i męczeństwa przeszłych pokoleń o naszą wolność, ze wzruszeniem spotykamy wśród nazwisk zasłużonych bojowników — ludzi obcej narodowości, którzy to do nas przybyli, aby czynem swym wesprzeć nasze skromne siły.

Ze wszystkich ginących za nas cudzoziemców, Stanisław Bechi poniósł ofiarę najtrudniejszą, śmierć najsroższą — nie od ślepej kuli bitewnej, lecz pod palem, od którego obce jego obywatelstwo winno mu było warować obronę. Czego pragnął dla siebie — pamięci polskiej o jego sierotach i niezatarcia jego obrazu w trzech sercach, co były przy nim w więzieniu. Kiedy wolność się stała i światełko można było rozdmuchać w tryumfalną pochodnię, Koło Polsko-Włoskie wzięło kult Bechiego za jedną z naczelnych swych osi, głęboko świadome, że czyni to niejako z pośmiertnego nakazu — i oto z inicjatywy Koła wzniesiono w r. 1928 we Włocławku pomnik ku pamięci płk. Bechiego. Dziś znów radzi jesteśmy zanotować nową manifestację uczuć dla pamięci o zasłużonym bojowniku za naszą wolność — w formie doskonale skreślonego obrazku dramatycznego pióra Jana Rzewnickiego.

Książka starannie jest wydana i zaopatrzona kilkoma ilustracjami.

*

Spoliczkowany laureat nagrody Nobla.

W sprawie zatargu pomiędzy dwoma utalentowanymi pisarzami — Sinclair Lewisem i Teodorem Dreiserem, który się rozegrał na terenie Koła przyjaciół literatury w New Yorku i zakończony został dwukrotnem spoliczkowaniem Lewisa, znieważony udzielił prasie następujących wyjaśnień:

„Od szeregu lat mogłem stwierdzić, że Dreiser uprawia względem mnie wrogą politykę. Unikałem osobistego zetknięcia się z nim, aż wreszcie spotkaliśmy się któregoś dnia na bankiecie Koła przyjaciół literatury. W rozmowie z moimi sąsiadami wspomniałem między innemi, że przy stole zasiada trzy osoby, które mnie nienawidzą, lecz i ja względem nich nie żywię sympatji. Przy kawie, kiedy otoczony gronem przyjaciół, stałem w hallu, podszedł nagle Dreiser i zapytał znienacka: — Mówił pan o trzech osobach — dobrze, a kto są te dwie poza mną? — Starałem się zbyć Dreisera paroma słowami obojętnemi, lecz ten natarczywie nie odstępował. Zniecierpliwiony — powiedziałem wreszcie, że mam prawo wyrażać poglądy, jakie mi się podobają. Na to Dreiser uderzył mnie. Powtórzyłem, co powiedziałem — a Dreiser ponownie dopuścił się rękoczynu. Po raz trzeci powtórzyłem wtedy swoje oświadczenie i nie czekając gestu Dreisera, sam nadstawiłem mu policzek. Nie wiem, jakby się to skończyło, gdyż wtrącili się w tem miejscu nasi przyjaciele, wiem jednak, że Dreiser był zdumiony do najwyższego stopnia".

Fakt, że pomiędzy dwoma pisarzami dochodzi do ostrego zatargu, nie jest nadzwyczajny. Po raz pierwszy jednak sprawa znajduje podobne załatwienie, a najciekawszem jest to, że Cinclair Lewis nie tai swego oburzenia na przyjaciół, którzy rozdzielili niezwykłych kombatantów, gdyż chciał, jak przyznaje, doświadczyć, jak dalece zachowanie się jego wytrąci z równowagi Dreisera.

Wydanie zbiorowe dzieł J. Kraszewskiego i T. T. Jeża — nakł. M. Arcta.

Bez fanfar, trąb, puzonów i bębnów jarmarcznego, hałaśliwego reklamiarstwa, bez surm bojowych, z któremi zwykły dziś występować wydawnictwa, zakłady wydawnicze M. Arcta dokonały wielkiego zamierzenia: nowego wydania dzieł J. I. Kraszewskiego i T. T. Jeża.

Narazie ukazało się 80 tomów J. I. Kraszewskiego.[1]) W wydaniu tem pojawiły się następujące dzieła: Stara baśń, Lubonie, Bracia Zmartwychwstańcy, Masław, Boleszczyce, Królewscy synowie, Historja o Petrku Właście, Stach z Konar, Kunigas, Kraków za Łokietka, Jelita, Król Chłopów, Krzyżacy, Strzemieńczyk, Jaszko Orfan, Dwie królowe, Zygmuntowskie czasy, Mistrz Twardowski, Infantka, Banita, Na królewskim dworze, Kordecki, Król Piast, Żywot Pełki, Historja o Janaszu Korczaku i o pięknej mieczników nie, Brühl, Starosta warszawski, Męczennica na tronie, Djabeł i Pod Blachą.

Nie są to wszystkie utwory Bolesławity. Brak w wydaniu tem dzieł takich, jak Dziecię Starego Miasta, Para Czerwona, My i oni, Żyd, Szpieg, Rachunki, Dajmon, Resurrecturi, Na tułactwie, W pocie czoła, Szalona i in.

Zdawało się już, że na tem koniec. Zdawało się, że szybkie tempo współczesnego życia nie pozostawia czasu na refleksję o rzeczach minionych, na lekturę historyczną zamierzchłych lat. Tak jednak nie jest. Z kart tej wielkiej bibljoteki, która jest niejako kalejdoskopem dziejów Polski — unosi się jakiś świeży powiew, emanuje woń najwyższej kultury. „Poza jednostkami, stworzonemi przez naturę na pionierów, twórców nowych wartości — pisze W. Feldman — są inne, które niejako streszczają w sobie swój czas, swoje społeczeństwo, ze wszystkiem, co w niem przeciętne, bieżące. Natura tu Kraszewskiego w całej pełni ujawniła się w bogatej, wielostronnej, niestrudzonej działalności..."[2])

Przed laty było zasługą Kraszewskiego, że wyparł z domów polskich i bibljotek książki francuskie. Dziś, w czasach niemniej groźnej inwazji brukowej literatury zagranicznej — Bolesławita podobną winien odegrać rolę wobec Wallace'ów i Oppenheim'ów.

Lektura Kraszewskiego ma to do siebie, że można się w niej zawsze czegoś nauczyć. A, pomijając ten czynnik utylitarny, daje ona zawsze emocje żywe, emocje jednakże wyższego rzędu.

E. M. Schummer.

[1]) *Wilhelm Feldman: Współczesna Literatura Polska. Wyd. 8-e. Kraków, 1930. Nakładem Krakowskiej Spółki Wydawniczej. Str. 86.*

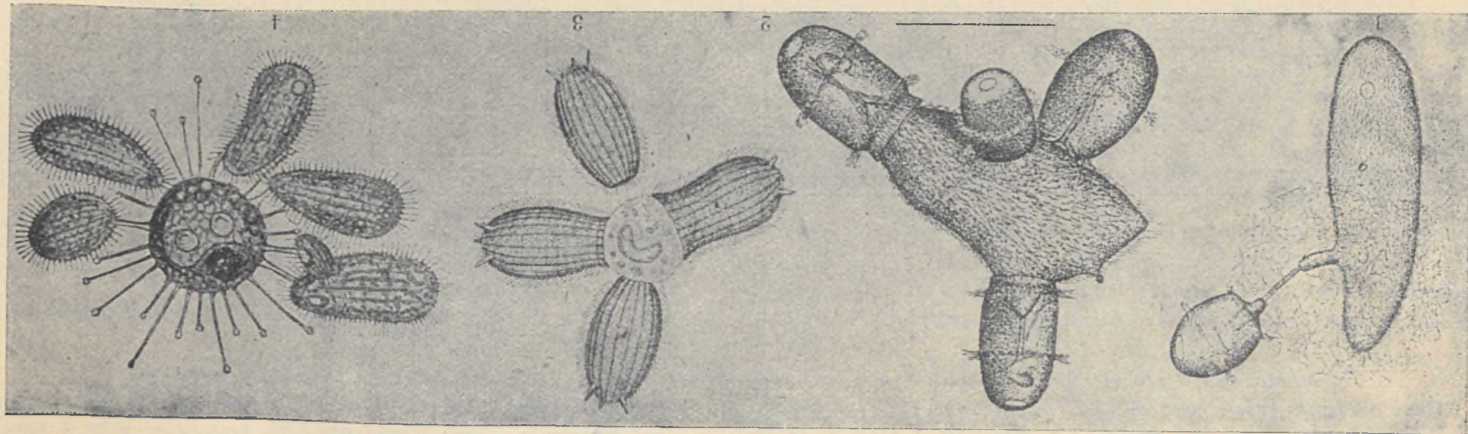
[2]) *J. I. Kraszewski. Wydanie nowe. Zakłady Wydawnicze M. Arct. Warszawa.*



Oryginalni artyści na szczudłach produkują się na bulwarach nicejskich.



Rekordową wytrwałością odznacza się 90-letnia staruszka, Elsie Daers, która pełni od 60 lat bez przerwy funkcje przewoźniczki na rzece Avon.



Ciekawe zdjęcie, przedstawiające walkę pomiędzy pierwotniakami. Wielki Pantofelek, osłaniając się podobnie jak pancernik pociskami, atakowany jest przez torpedowce drobniutkie Didinium. Ulega im, napastnicy odpłyną, nasyceni — lecz wkrótce zginą, karmiąc swem ciałem napotkaną Sphaerophy'ę.

„7 DNI" WYCHODZI CO CZWARTEK W WARSZAWIE — KRAKOWIE — POZNANIU — LWOWIE — I WILNIE.

Prenumerata krajowa wraz z przesyłką: kwartalna: 5 50; półroczna 10.50, roczna 20 zł. Prenumerata zagraniczna: kwartalnie 8 zł., półrocznie 15.50 zł., rocznie 30 zł. Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Marszałkowska 99. Tel. 525-85. Konto PKO 19-447. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.

Administracja nie przyjmuje zastrzeżeń w sprawie lokowania ogłoszeń i nie odpowiada za terminowy ich druk.

Ceny ogłoszeń: cała strona zł. 1.200, ½ strony zł 600, mniejsze podług ilości milimetrów, 1 m/m 1 szpaltowy zł. 1.50, układ 3-szpaltowy.

Klisze ogłoszeniowe, zajmujące więcej, niż szerokość 1 szpalty są lic[illegible] szpaltowe, zaś więcej niż dwie szpalty — jako 3 szpaltowe

Ogłoszenia dwubarwne o 50% drożej.

Redaktor naczelny: EUGENJUSZ RAFALSKI. Wydawca: „PRASA ILUSTROWANA" S-ka z ogr. odp.

Sp. Akc. Zakł. Graf. „Drukarnia Polska", Warszawa, Szpitalna 12. Tel. 717-98 i 504-46.